



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Józef Fatyga

Wojenna szkoła życia

Wywodzę się z rodziny robotniczej. Ojciec mój jako młody chłopak wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego, gdzie został przydzielony do Batalionu Strzelców Śmierci. W wojsku tym przeszedł cały front wschodni, tzn. bolszewicki, a także czeski. Zaznaczam to szczególnie, aby było wiadomo, że wywodzę się z rodziny patriotycznej. Urodziłem się w 1927 roku. W siódmym roku życia wstąpiłem do szkoły podstawowej. Wojna 1939 roku na rok przerwała moją naukę, ponieważ zamknięto szkoły. Otwarto je w roku następnym. Ja uczęszczałem tylko do 6 grudnia 1941 roku, ponieważ Niemcy zmusili mnie do pracy na kopalni Niwka. Pomimo, że uczęszczałem do klasy 7 tylko przez kilka miesięcy, jednak kierownik szkoły przysłał mi świadectwo ukończenia 7 klas, uważając mnie za dobrego ucznia.

A zatem w wieku 14 lat musiałem podjąć pracę w kopalni. Skierowano mnie do wydziału mechanicznego do pomocy ślusarzowi. Po pewnym czasie majster niemiecki dał mnie do pomocy kowalowi, gdzie pracowałem do 15 roku życia. Następnie przeniesiono mnie na sortownię. Niemcy uważali, iż musimy wszystko umieć. Gdy miałem 16 lat rozpocząłem pracę pod ziemią. Pamiętam do dzisiejszego dnia, jak dozór niemiecki nie zważając na młody wiek traktował nas jak dorosłych. Pierwszy dzień na dole był dla mnie okropny. Przydzielono mnie do pracy na wylot, gdzie rynny potrząsalne podawały węgiel ze ściany na taśmociąg. Następnie węgiel wędrował do wozów, którymi był wieziony do szybu. Miałem za zadanie wybierać bryły z rynien, aby nie zaklinowało spływu urobku na wylocie, gdyż mogłoby zaważyć taśmę i zatrzymać całe wydobywanie. Sztymar nie zdawał sobie sprawy, że ja pierwszy raz byłem pod ziemią i na wynik nie trzeba było długo czekać. Gdy górnicy zaczęli strzelać węgiel, a drzewiarze puszczać drzewo po rynnach, wtedy zaczęło się wszystko blokować na wylocie. Ze strachu uciekłem w koniec chodnika, nie wiedząc czy płakać czy wołać o pomoc. Nagle wszystko stanęło i po chwili przyszedł sztymar niemiecki. Goniąc mnie z kilofkiem wyzywał, iż robię sabotaż. Górnicy stając w mojej obronie wytłumaczyli sztymarowi, że ja jako dziecko nie dam sobie rady i należy postawić jeszcze dwóch doświadczonych górników. Po krótkiej chwili wszystko ruszyło, lecz ja odczułem to bardzo psychicznie i zdrowotnie. W następnym dniu bolały mnie ręce. Na szczęście sztymar – Niemiec przeniósł mnie do innej pracy. Miałem uruchamiać silnik powietrzny. Silnik ten uruchamiał rynny, po których sypał się węgiel na taśmę, a następnie do wozów, którymi jechał do szybu i na powierzchnię. Praca ta byłaby nawet znośna, gdyby nie sztymar, którym był Ukraińiec pochodzenia niemieckiego. Sztymar ten nie mógł zrozumieć, że może być słabe powietrze z kompresora i kiedy rynny były przepełnione węglem motor powietrzny nie mógł ich ruszyć. Zdenerwowany bił kilofkiem każdego, kto był pod ręką, a w szczególności mnie. Ja byłem wtedy młody i zwinny, więc bronilem się jak tylko umiałem.

Przy rozruchu tego silnika pracowałem parę dni. Następnie przeniesiono mnie do pracy przy podsadce rabunkowej na ścianie. Pomimo tego, iż miałem tylko 16 lat dano mi normę jak starym górnikom, co było dla mnie bardzo uciążliwe. Do pomocy dano mi jeńca brytyjskiego, którego nie obowiązywała żadna norma. Jak chciał to robił, a nie chciał to nie robił. Gdy przysłała pora szedł pod szyb na wyjazd. Natomiast ja musiałem pracować do zrobienia normy. W sumie pracowałem po 14-16 godzin. Kiedy ściana się kończyła oddział zamykali, a ludzi przenosili do innych oddziałów. Mnie na szczęście przeniesiono do oddziału, w którym pracował mój ojciec jako cieśla górniczy. Na dodatek sztygarem był tam Polak, który jak ja i ojciec należał do AK. Sztymar ten przydzielił mnie do mojego ojca jako pomoc ciesielską. Pracowaliśmy w trudnych warunkach. Nieraz pogoniła nas woda, która się przelewała ze starych wyrobisk lub waliło się i trzeba było uciekać.

Najważniejsze było dla mnie to, że pracowałem razem z ojcem. W 1944 roku Niemcy aresztowali go na dwa tygodnie. Powodem było to, że w czasie nalotu alianckich samolotów nie było dobrze zaciemnione okno w naszym domu. Ojciec siedział 14 dni w więzieniu w Będzinie. Przez ten okres pracowałem przy pomocy jeńca brytyjskiego. Robiłem zawsze na nocną zmianę i to mi odpowiadało, ponieważ po pracy mogłem chodzić do więzienia, gdzie ojciec odbywał karę. Zawsze zabierałem dla niego jedzenie. Narażałem się w ten sposób, bo strażnicy niemieccy nie pozwalali zbliżyć się do więzienia, a tym bardziej do więźniów. Ja będąc młodym i zwinnym skakałem przez mur ogrodu więziennego, gdzie wyprowadzano uwięzionych do pracy. Chowałem jedzenie w takie miejsca, gdzie nie było ich widać. Ojciec pracując jednocześnie obserwował, gdzie chowam. Gdy się zbliżali do tego miejsca, wykorzystując nieuwagę strażnika, który ich pilnował, zabierał pakunek.

Pewnego dnia miałem przygodę. Kiedy skakałem przez mur strażnik zauważył mnie i strzelił z karabinu. Na szczęście mnie nie trafił. Zdążyłem tylko skoczyć z muru, a kula zrzuciła cegłę w tym miejscu, gdzie przed chwilą stałem. Po tym zdarzeniu byłem ostrożniejszy, ale nie zawsze udawało mi się podawać jedzenie.

Po wyjściu z aresztu ojciec wrócił do swojej pracy. Radość z tego powodu nie trwała długo. W obawie przed zbliżającym się frontem wschodnim Niemcy wysłali dużą grupę robotników kopalni Niwka do kopania bunkrów obronnych w Zawoi koło Babiej Góry. Między innymi znalazłem się tam i ja. Wieziono nas tam w nocy. Dotarliśmy do miejscowości Sucha Beskidzka, a dalej prowadzono nas pod osłoną Werksztutu i Folkszturmu na nocleg do szkoły. Przebywaliśmy w niej tylko do wczesnego rana. Po porannej zbiórce dano nam do menażek trochę jałowego kapuśniaku i ruszyliśmy z bagażami pieszo do Zawoi. W drodze mieliśmy tylko jeden postój na posiłek. Po dotarciu na miejsce ponownie nas nakarmiono kapuśniakiem, po czym dowództwo niemieckie podzieliło nas na grupy, z których wybrano grupowych i setników. Następnie przydzielono nam kwatery. Okazało się, że są to stare chaty nie zamieszkałe przez nikogo, nie posiadające nawet pieców. W pokoju, w którym się znalazłem było nas dziesięciu. Spaliśmy na podłodze dwójkami. Rankiem spotkaliśmy się na apelu pod willą, w której mieszkali niemieccy dowódcy. Ustawiono nas w czwórki, odliczono i wyczytano nazwiskami. Po apelu zabrano nas na Babią Górę do kopania bunkrów.

Po dotarciu na miejsce okazało się, że są tam już jeńcy: włoscy i ukraińscy cywile. Robota była ciężka, trzeba było kopać w kamieniu i w skale. Chodząc do pracy zauważyłem, że Niemcy nie są zbyt czujni i niezbyt dokładnie pilnują. Postanowiłem więc, żeby zniknąć w czasie marszu na góry i to raz się udało. Wtedy przypomniało mi się, co mówił dowódca AK na temat sabotażu (od 1942 roku należałem do AK pod pseudonimem Tomasz II; jako łącznik działałem w kolportażu i robiłem sabotaż na kopalni Niwka). Gdy pracowałem na sortowni w kopalni, wkładałem kawał łomu między transportery, co powodowało, że wydobywanie stawało. Będąc w górach uciekałem z pracy przy kopaniu bunkrów, chodziłem po domach, oferując różne przedmioty do sprzedania. Górale interesowali się skąd jestem, co robię itd. Tam opowiadałem jaka u nas bieda w Sosnowcu. Górale uczuleni na te rzeczy częstowali mnie chlebem z kielbasą i gorącym mlekiem.

Jedną z moich ucieczek zauważyli setnik i grupowy. Zaczęli mnie straszyć, że zgłoszą to dowódcom niemieckim. Wybronił mnie współlokatorzy, tłumacząc im, że Polak nie może wydać Polaka. Po krótkiej rozmowie ostrzegli mnie, bym nie dał się złapać Niemcom. Na przyszłość postanowiłem być ostrożniejszy. Później obserwowałem, którzy Niemcy prowadzą moją grupę i wtedy decydowałem się czy iść do roboty czy na wieś. Najczęściej chodziłem do jednego górala, który robił z drzewa dziecinne zabawki i opowiadałem o tragediach, dziejących się w Sosnowcu. Gdy zbliżała się godzina powrotu z pracy szedłem pod stołówkę, dołączałem do swojej grupy i z nią udawałem się na obiad. Po obiedzie ponownie szedłem na wieś, aby coś sprzedać.

Pewnego razu poszedłem na wieś sprzedać buty robocze i ubrania. Trafiłem do gajowego, który mieszkał pod samą Babią Górą. Przebywała u niego jakaś pani, która się mną zainteresowała. Wypytywała skąd jestem i co tutaj robię. Usłyszawszy, że jestem z Sosnowca-Dańdówki zapytała, czy znam Zagórze koło Sosnowca, gdyż ma ona tam rodzinę. Ona pochodziła z Warszawy, uciekła z Powstania, kiedy Niemcy aresztowali wszystkich Polaków. Zadała mi pytanie czy będę kiedyś jechał do domu i czy mógłbym podać list od niej do rodziny w Zagórze. Wtedy przypomniałem sobie, że

Niemcy obiecali wysłać delegację na pogrzeb jednego współpracownika z naszej grupy. Myśląc, że może uda mi się zabrać z nimi odebrałem list z adresem od tej kobiety.

Następnego dnia po apelu i śniadaniu poleciałem na drogę, którą mieli jechać na pogrzeb. Niestety spóźniłem się o parę minut. Postanowiłem ich gonić, jednak nadaremnie, bo pojechali konnym wozem. Spotkałem góralkę, która doskonale знаła ten teren, gdyż pochodziła z Zawoi. Zapytana czy nie widziała jadącej furmanki odpowiedziała, że jechała bardzo szybko i nie mam szans jej dogonić. Zapytałem którądy najbliższej do stacji. Pani ta odpowiedziała, że to kawał drogi, ale najbliższej do Jeleśnej. Ale na drodze jest granica i strażnica niemiecka, którą trudno przekroczyć. No cóż – pomyślałem sobie – nie będę wracał, co ma być to będzie. Ruszyłem więc, dziękując góralce za informację, której mi udzieliła. Maszerowałem pod górę, a z góry prawie biegłem, by nie spóźnić się na pociąg. Po drodze nie spotkałem nikogo, jedynie w lesie było słychać dźwięk pił pracujących drwali.

Dotarwszy do stacji w Jeleśni podszedłem do kasy kupić bilet do Sosnowca. Kasjer zapytał o przepustkę. Odpowiedziałem, że zapomniałem. Udałem, że szukam po kieszeniach. W końcu sprzedał mi bilet. „Ale następnym razem musisz ją okazać” – zaznaczył. Gdy odszedłem od kasy podszedł do mnie jakiś pan mówiąc, że bym trochę pobiegał, gdyż jestem bardzo zgrzany i mogę dostać zapalenia płuc. Posłuchałem go i biegłem aż do przyjazdu pociągu. Gdy wjechał na peron wsiadłem do wagonu, oglądając się czy nie ma kontroli niemieckiej. Dojeżdżając do Żywca usłyszałem zapowiadany pociąg do Katowic. Wyszedłem szybko i pobiegłem do ruszającego pociągu do Katowic. Wskoczyłem w biegu nie zauważając, że w tym wagonie jadą sami oficerowie niemieccy. Ale cóż, musiałem jechać, gdyż pociąg już nabral szybkości. Po pewnym czasie Niemcy zaczęli spoglądać na siebie oraz na mnie i śmiali się, lecz ja nie wiedziałem z czego. Po chwili jeden z oficerów zawołał mnie do siebie i spytał skąd jadę i dokąd. Odpowiedziałem, że jadę do domu, aby się wykapać i zabrać ze sobą czyste ubranie. Pytali co robię w rodzinnej miejscowości, odpowiedziałem im, że pracuję na kopalni jako górnik. Oni nagle zaczęli się śmiać. Ja zaś skorzystałem z okazji, że nie było kontrolera i tak dojechałem do Katowic, skąd przesiadłem się na pociąg do Sosnowca, a z Sosnowca do Dańdówki. Spotkałem tam kolegę z pokoju, który jechał na pogrzeb. Umówiliśmy się, że będziemy razem wracać w góry. Po pewnym czasie każdy z nas poszedł do swojej rodziny.

Wchodząc do domu zaskoczyłem rodziców i siostry, ponieważ nie spodziewali się mnie. Mama ucieszona moim przyjazdem naszykowała mi kolację, którą jadłem z wielkim apetytem. Po krótkim odpoczynku zacząłem opowiadać o swoich przeżyciach związanych z pobytem w górach. Po nocnym odpoczynku powiedziałem ojcu o liście, który miałem podać do Zagórza. Po krótkim namyśle powiedział, że bym mu dał ten list, to on sam doręczy przez pocztę w Klimontowie. Poradził mi też, abym zaraz wracał, bo tu mogą mnie szukać Niemcy. Posłuchawszy ojca powiadomiłem kolegę o powrocie w góry. Wyjechaliśmy wieczorem, a rano byliśmy w Zawoi. Podróż odbyła się bez żadnych przykrych przygód. Po przyjeździe w góry dowiedzieliśmy się, że ojciec miał rację, gdyż Niemcy już o nas zgłosili na policję. Słyszając to postanowiliśmy z kolegą zgłosić się u dowództwa niemieckiego. Niemiec pytał gdzie byliśmy oraz dlaczego nie chodziliśmy do pracy w górach. Udając bardzo wystraszonych tłumaczyliśmy się, że byliśmy w domu, aby się wykapać i opruć, gdyż tam nie było pralni ani łaźni. Niemcy krzycząc na nas tłumaczyli, iż należało im zgłosić, to byśmy dostali przepustki, bo tu jest niebezpiecznie. Wspólnie z kolegą przyrzekliśmy, że następnym razem tak zrobimy.

Na następny dzień poszliśmy do pracy. Po trzech dniach znowu poszedłem do Zawoi, aby powiedzieć, że list dostarczyłem rodzinie. Wtedy ta pani bardzo się ucieszyła i w nagrodę dała mi kawałek mięsa i słoniny. Byłem bardzo zadowolony, ponieważ myśmy tego nie mieli. W następnych dniach znowu zamiast chodzić do pracy budować bunkry odwiedzałem domy górali. Był grudzień, zima dość ostra, a w naszym pokoju nie było pieca. Myliśmy się w rzece, która płynęła koło naszego domu. Kąpiel ta była bardzo zdrowa, gdyż śnieg po kolana, mróz 18-20 stopni, a my boso wchodziliśmy do tej wody.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia i z tej okazji mieliśmy wyjechać do domu. Ja ucieszony, że ten czas spędzę z rodziną, poszedłem zapytać tą panią, która mieszkała u gajowego czy nie chce podać listu rodzinie. Poinformowała mnie jednak, że już otrzymała wiadomość. Wspomniała też, że chciałaby zdobyć mundur angielski. W jakim celu – tego nie zdradziła. Z kolei gajowy prosił, abym mu przywiózł buty robocze, ubranie i lampę karbidkę. Odpowiedziałem im, że jeżeli to będzie możliwe, to przywiózę.

Po powrocie na kwaterę dowiedziałem się od kolegów, że nazajutrz wyjeżdżamy. W następnym dniu na apelu oficer oznajmił nam, że by się przygotować do odjazdu do domu. Zabraliśmy walizki i poszliśmy pod kwaterę dowództwa czekać na samochód. Przyjechał duży ciężarowy wóz, który nas odwiózł na stację do Suchej. Tam czekał podstawiony pociąg, którym udaliśmy się do Mysłowic. Z Mysłowic szliśmy pieszo jakieś 7 kilometrów. Droga była ciężka, gdyż dzień krótki, a do tego duży śnieg. Gdy przekroczyłem próg mojego domu była wielka radość. Mama zaraz zrobiła kolację. Zajadałem ją z wielkim apetytem.

Na drugi dzień odwiedził mnie kolega, z którym byłem w górach z pytaniem, czy nie pojedę do Zawoi, aby kupić coś do jedzenia. Zbliżały się święta, a tam można było kupić kury, masło, mięso i jaja. Odbyłem w tej sprawie naradę z rodzicami. Po długich oporach zgodzili się. Ojciec spakował mi

mundur, buty i lampę karbidową. O umówionej porze pożegnałem się z rodzicami i poszedłem na wieczorny pociąg. Jechało się wtedy z Dańdówki do Sosnowca, następnie do Katowic, potem do Żywca, a z Żywca do Zawoi. Jadąc pociągiem przysnęliśmy. Po przebudzeniu się zapytaliśmy współpasażera czy daleko do Żywca. On uśmiechnął się i odpowiedział, że już przejechaliśmy stację. Postanowiliśmy wysiąść na najbliższej, aby przesiąść się na pociąg powrotny. Po wyjściu z pociągu przeraziliśmy się, gdyż nic nie było widać z powodu gęstej mgły. W poczekalni okazało się, iż wcale nie jest lepiej niż na zewnątrz. Piec kaflowy był zimny, drzwi się nie domykały, a w pobliżu ani żywej duszy, żeby o coś zapytać. Jedyne w kasie słychać śmiechy kobiece i rozmowy po polsku. Zapukaliśmy w okienko. Po chwili kasjerka, nie otwierając go, zapytała czego chcemy. Wyjaśniłem, że jadąc do Żywca przysnęliśmy i tutaj wysiedliśmy. Panienska poinformowała nas, że pociąg do Żywca będzie o godzinie 5 rano, a była dopiero godzina 24. Po chwili panienska otworzyła okienko radząc nam, żeby iść do tartaku, który znajduje się po drugiej stronie toru i przynieść obrzynków drewnianych, aby napalić w piecu. Zapytane przez nas jak tam trafić w takiej mgłę, wytłumaczyły którądy należy iść. Trzeba przejść za przejazdem kolejowym w prawo, tam będzie brama oraz budka, w której siedzi stróż z psem, ale żeby się nic nie bać, gdyż jest duża mgła i stróż nas nie zauważy. Wierząc tym panienkom poszliśmy i nanosiliśmy drzewa. Rozpaliliśmy w piecu, a gdy się nagrzał zmorzył nas sen. Zasnęliśmy tak mocno, że nawet nie poczułem jak mi się czapka przypaliła. Nagle poczuliśmy swąd palącej się szmaty. Zerwało nas to na równe nogi. Ja gasząc swoją czapkę rozbawiłem panienski z kasy.

Zbliżała się godzina przyjazdu pociągu, schodzili się pasażerowie. Panienkom widocznie zrobiło się nas żal i otworzyły drzwi do kasy zapraszając nas na gorącą herbatę. Korzystając z tej okazji wyciągnęliśmy z torby chleb i zjedliśmy śniadanie. Gdy pociąg przyjechał grzecznie podziękowaliśmy za wszystko i odjechaliśmy do Żywca. Po dotarciu na miejsce udaliśmy się do kasy, aby kupić bilety do Jeleśni. Do odjazdu mieliśmy trochę czasu, więc weszliśmy do poczekalni. Panował tam wielki tłok. Nagle w drzwiach pokazali się żandarmi niemieccy. Zablokowali wszystkie wyjścia i prowadzili kontrolę dokumentów. Ze względu na niemożność ucieczki, postanowiliśmy okazać dokumenty otrzymane przy wyjeździe z Zawoi. Niemcy pytali dokąd jedziemy, my odpowiadaliśmy, że do kopania bunkrów. Po sprawdzeniu dokumentów oświadczyli, że papiery nasze są nieważne, gdyż mamy na wyjazd, a nie na przyjazd. Wtedy ja zacząłem tłumaczyć, że nasz dowódca powiedział, iż na te dokumenty możemy też wracać. Niemcy nie bardzo chcą wierzyć moim przekonaniom zainteresowali się naszymi bagażami. To było bardzo ryzykowne, gdyż w mojej walizce znajdował się angielski mundur wojskowy, przykryty roboczym ubraniem oraz karbidka. Na szczęście nie grzebali w niej tylko zainteresowała ich ta lampa, ale powiedziałem, że tam gdzie mieszkamy nie ma światła.

Trochę ochłonęliśmy, gdy przyjechał pociąg. Po wejściu do niego myśleliśmy nad tym, jak przedostać się przez granicę z Zawoi do Jeleśnej. Plany były różne, ale po wyjściu z pociągu ruszyliśmy tą samą trasą, którą już chodziliśmy. Niestety tym razem spotkała nas niespodzianka. Otóż pokonując granicę i wchodząc do wsi trzeba było iść przez zagrody góralskie. Gdy przechodziliśmy przez zagrodę zauważył nas góral i ostrzegł, że wieś jest okrażona przez Niemców. Zaczęliśmy go prosić, żeby nas ukrył w stodołę, lecz on nie chciał się zgodzić. Tłumaczył nam, że Niemcy z karabinami maszynowymi są na górach i wszystko widzą. Nie mając innego wyjścia postanowiliśmy iść dalej, mając nadzieję, że mimo wszystko nam się to uda. Byliśmy już niedaleko szczytu, gdy nagle z krzaków wyszło dwóch niemieckich żołnierzy. Zatrzymali nas pytając dokąd idziemy i co niesiemy w tych walizkach.. Znowu tłumaczyliśmy z kolegą, że jedziemy do kopania bunkrów. Oglądając dokumenty powiedzieli, że zezwalają one na wyjazd, a nie na przyjazd. Wreszcie po dłuższych wyjaśnieniach spojrzeli pobieżnie na zawartość walizek i kazali nam iść dalej, ale następnym razem mamy mieć właściwe dokumenty.

Ledwo ruszyliśmy, gdy z drugiej strony wsi jakiś żołnierz zaczął krzyczeć, aby nas zatrzymać i zaczął strzelać z karabinu, tak że aż nad naszymi głowami fruwały gałęzie. Przyspieszyliśmy z kolegą kroku, aby jak najszybciej wyjść na szczyt. Z góry do wsi zbiegliśmy w ciągu paru minut. Nie namyślając się pobiegliśmy do górala, u którego często bywałem. Dziwił się czemu tak uciekamy. Gdy powiedzieliśmy mu, że gonią nas Niemcy, szybko skierował nas do stodoły. Ukrył nasze walizki, a nas przykrył snopkami słomy. Po sprawdzeniu, że już wszystko jest w porządku, góral zaprosił nas do chałupy częstując chlebem i gorącym mlekiem. Po posiłku zacząłem im opowiadać nasze przygody. Słuchając ich góral z żoną i synem podziwiali naszą odwagę. Gdy odpoczęliśmy, poszliśmy do gajowego. Pani, która się tam ukrywała była zaskoczona, gdy zobaczyła zamówiony u mnie mundur angielski. Wzięła razem z gajowym wszystko, co przywiozłem i należycie nam zapłaciła. Następnie opowiedziałem im o naszych przygodach. Po krótkiej rozmowie i złożeniu życzeń świątecznych i noworocznych ruszyliśmy do górala, gdzie mieliśmy się przespać. U niego zostaliśmy poczęstowani kolacją, po której złożyliśmy sobie życzenia świąteczne i noworoczne i poszliśmy spać.

Wstaliśmy o 4 rano, aby granicę przejść po ciemku. Obawialiśmy się, że Niemcy nadal otaczają wieś. Podziękowaliśmy gospodarzom za wszystko i ruszyliśmy do Jeleśnej. W drodze na Babią Górę kolega zauważył, że coś się rusza w krzakach. Przystanąwszy na chwilę ujrzeliśmy, że wychodzi z nich kobieta z krową. Zapytała nas, czy Niemcy zabierają krowy we wsi. Okazało się, że ona już dwa dni stoi głodna

i zmarznięta, gdyż boi się, żeby nie odebrali jej ostatniej krowy. Po jakimś czasie usłyszeliśmy jakieś odgłosy i rozmowy po niemiecku, ale zesłaliśmy szczęśliwie z Babiej Góry i znaleźliśmy się na szosie do Jelesnej. Zdawało się, że już nic nam nie zagraża, jednak kiedy kolega obejrzał się do tyłu, zobaczył umundurowanego hitlerowca. Na ucieczkę było już za późno, gdyż był tuż za nami. Gdy doszedł do nas, zapytał skąd idziemy i co niesiemy. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko powiedzieć prawdę. Odpowiedzieliśmy, że wracamy z Zawoi, a jedziemy do domu. Obejrzawszy papiery stwierdził, że trzy dni temu powinniśmy jechać, ale znowu powiedzieliśmy, że była pilna robota i musieliśmy zostać. Niemiec ten umiał mówić po polsku i zaproponował nam, że nas puści jak mu damy połowę zawartości walizek. Zgodziliśmy się, a on wyznaczył miejsce spotkania. Mieliśmy się spotkać na stacji w Jelesnej. On poszedł przodem, a my powoli za nim. Gdy dochodziliśmy do skrzyżowania dróg w Jelesnej postanowiłem zmylić Niemca, gdyż szkoda mi było się z nim dzielić żywnością. Jak tylko nadarzyła się okazja postanowiliśmy ją wykorzystać i weszliśmy do pierwszej chałupy, która stała przy drodze. W chacie zastaliśmy kobietę przędzącą wełnę oraz jej syna. Pochwaliwszy Pana Boga zapytaliśmy o męża. Odpowiedziała, że jest w stodole. Po chwili syn zawołał ojca, któremu opowiedzieliśmy o spotkaniu z Niemcem i o jego propozycji. Gospodarz kazał żonie przygotować chleba i gorącego mleka, abyśmy się posilili oraz zagrzali. On tymczasem poszedł z synem na dworzec przeszedźć, czy Niemiec jeszcze czeka i o której godzinie odjeżdża pociąg do Żywca. Okazało się, że wszystko w porządku. Mieliśmy jeszcze 2 godziny na rozmowę z gospodarzami. Opowiedzieliśmy im, jak u nas okupanci mordują, ciężko każą robić, a jedzenia mamy bardzo mało. Gdy zbliżał się czas wyjścia na pociąg gospodarz najpierw wysłał syna, aby sprawdził czy wszystko jest w porządku, a potem on nas bezpiecznie przeprowadził na dworzec. Podziękowaliśmy za wszystko gospodarzowi i wsiedliśmy do wagonu.

Podróż powrotna była spokojna, gdyż nie było żadnej kontroli. Wróciliśmy dzień przed Wigilią. Radość z tego powodu była ogromna, gdyż wszyscy się martwili, czy aby Niemcy nas nie złapali, bo czym to groziło wszyscy wiedzieli. Następnego dnia to była Wigilia roku 1944. Mama przygotowała różne potrawy według naszego zwyczaju. Przy stole połamaliśmy się opłatkiem, składając sobie życzenia zdrowia, długich lat życia oraz zwycięstwa nad Niemcami. Po kolacji zaczęły się wspomnienia od wybuchu wojny, a wspominać było co. Ja opowiadałem, jak się modliłem klęcząc przy ołtarzu zrobionym przez mamę oraz jak śpiewałem hymn polski, ponieważ ojciec nauczył mnie, jak kochać Polskę. Przed snem ojciec opowiadał nam o wojnie bolszewickiej, w której brał udział będąc młodym chłopcem, jak przeszedł cały front. Słuchaliśmy tego z zapartym tchem. My z kolei opowiadaliśmy, jak Niemcy przeprowadzali u nas kontrolę, kiedy ojciec siedział w więzieniu w Będzinie, jak ukryliśmy rodzinę Gierków.

Święta spędziliśmy w podniosłej atmosferze, śpiewając kolędy przy choince. Po Bożym Narodzeniu należało się zgłosić na kopalnię Niwka do władz niemieckich, aby oddać koce i podjąć pracę. Niemcy byli już podszyty strachem, czuli bowiem, że w najbliższych dniach ruszy ofensywa na wschodnim i zachodnim froncie. Ja z ojcem, wiedząc o tym, nie zgłaszałem się do roboty. Kopalnie nie wydobywały już węgla, a dozór niemiecki na czele z dyrektorem i zawiadowcą kierował ludzi do kopania okopów. Nie szukali nas.

Po paru dniach usłyszeliśmy zbliżające się strzały artyleryjskie i z karabinów maszynowych. Liczyliśmy na wyzwolenie przez Armię Czerwoną. Kiedy wkroczyli do nas, wskazywaliśmy im gdzie są bunkry niemieckie. Witając ich częstowaliśmy resztkami chleba oraz czarną kawą, gdyż nic innego nie mieliśmy. Ludzie bardzo cieszyli się z wyzwolenia, ale nie trwało to długo, bo już w październiku 1945 roku ogłoszono ujawnianie się partyzantki oraz podziemia. Wśród nas pojawił się niepokój, zaczęto bowiem aresztować niektórych żołnierzy AK. Dowódca powiadomił mnie, że ujawniamy się całym oddziałem. Za kilka dni otrzymałem od niego wiadomość, że mamy iść na zjazd wszystkich organizacji podziemnych, który odbywał się w Sosnowcu w Metalowcu. Dał mi pistolet mówiąc, że mam go osłaniać. Gdyby podczas jego przemówienia weszli ubowcy z zamiarem aresztowania go, mam strzelać w górę torować mu drogę ucieczki. Przystałem na tę propozycję. Gdy zajechaliśmy pod wskazany adres, ustawiliśmy się zgodnie z poleceniem dowódcy. Czekałem na dalszy bieg zdarzeń. Rozpoczęły się przemówienia, zrobiło się groźnie. Mój dowódca mówił bardzo ostro, za co zbierał gorące brawa. Na szczęście wszystko skończyło się spokojnie i odjechaliśmy ciężarówkami pod swój lokal. Tam oddałem broń. Rozpoczęła się dyskusja, lecz ja jako 16-letni chłopak nie zabierałem w niej głosu.

Po kilku dniach pojechaliśmy całą grupą z dowódcą do Sali Marmurowej w Katowicach. Ustawiliśmy się kolejno, ja jako najmłodszy stanąłem ostatni. Po chwili podszedł do mnie dowódca i powiedział, że bym nie przyznawał się, że miałem broń. Miałem powiedzieć, że byłem tylko łącznikiem i roznosiłem kolportaż. Kiedy nadeszła moja kolej podszedłem do stołu, za którym siedziała komisja weryfikacyjna. Na pytanie, gdzie działałem oraz polecenie aby oddać broń odpowiedziałem, że byłem tylko łącznikiem, a broni nie posiadałem. Wtedy zaczęto mnie straszyć, że jak mi udowodnią posiadanie broni, to zostaną surowo ukarani. Jednak zdania nie zmieniłem, z czego mój dowódca był bardzo zadowolony. Na tym skończyła się moja weryfikacja. Dowódca mój ps. „Snop” był w PPS-ie i wybrano go prezesem tej partii. Po jakimś czasie mnie też wciągnął do PPS. Za działalność w podziemiu

odznaczył mnie Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Obiecano mi w późniejszym czasie Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Jednak do tego nie doszło, gdyż połączono partię PPS i PPR, tworząc PZPR, do której nie wstąpiłem. Po wojnie zostałem członkiem ZBOWiD. Następnie zapisałem się do Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kraju, do którego cały czas należę.